

Fuck-up

AUTOR: SZYMON KAZIMIERCZAK

Wrocławscy aktorzy podejmują w *Fucku* namysł nad sensem protestacyjnych gestów i własnym miejscem w tej narracji oraz tworzą sceniczny przegląd artystycznych i obywatelskich buntów.

■ Ostatnie sezony prawdopodobnie zapiszą się w historii polskiego teatru jako czas bezprecedensowego kryzysu relacji urzędników i artystów. Jako najbardziej burzliwy wątek tej opowieści zapamiętane zostaną z pewnością losy wrocławskiego Teatru Polskiego, gdzie zwolnionego pod zarzutem niegospodarności Krzysztofa Mieszkowskiego wymieniono na Cezarego Morawskiego – aktora znanego z telewizyjnych seriali i drugorzędnych spektakli komediowych. Sytuacja kuriozalna: od początku wydawało się bowiem oczywiste, że tak złożonej strukturalnie instytucji o wysokich artystycznych ambicjach, z poważnymi sukcesami na koncie, należy się szef obdarzony wizją, osobowością i wszechstronnym doświadczeniem artystycznym i organizacyjnym. Nie trzeba było też specjalnej dalekowzroczności, by wiedzieć, że Morawski nie jest uosobieniem tych cech.

Nic więc dziwnego, że część zespołu, zaniepokojona bezsensownym wynikiem konkursu dyrektorskiego popartego przez wojewódzkich urzędników, zapewne przywiązana do charakteru pracy m.in. z Krystianem Lupą, już od września wszczęła protest, w który zaangażowali się nie tylko aktorzy, ale i widzowie Polskiego. Warto dodać, że jak na permanentną nieobecność tematów teatralnych w mediach głównego nurtu, wrocławska akcja zyskała imponujący rozgłos – porównywalny chyba tylko z późniejszą aferą wokół *Kłątwy* Olivera Frljicia. Co jednak przez ostatni rok uderzało silnie, to dysproporcja między medialną siłą protestu a jego rzeczywistymi osiągnięciami.

Emblematem wrocławskiej akcji stała się czarna taśma, którą publicznie zaklejali usta ludzie solidaryzujący się z Aktorami Teatru Polskiego w Podziemiu – bo taką nazwę nosi

grupa teatralna aktorów, którzy odeszli bądź zostali zwolnieni z Polskiego. Dramatyczny gest wskazujący na odebranie artystom głosu – dolnośląscy urzędnicy niemal całkowicie zignorowali niepokoje w zespole Polskiego – był powtarzany wielokrotnie, w bardziej lub mniej szczęśliwych kontekstach: nie tylko podczas ulicznych manifestacji, ale i podczas gali Paszportów „Polityki”, a także w trakcie ukłonów po spektaklach w wielu polskich teatrach. W tym również w... warszawskim Studio. Gestów solidarności było zresztą znacznie więcej: z pewnością znaczący dla wrocławskich artystów był Kamyk Puzyny – nagroda przyznawana przez miesięcznik „Dialog” ludziom i grupom, które łączą w swojej działalności teatr z zaangażowaniem społecznym. Swoją solidarność wyraził także Bartosz Szydłowski, zapraszając wrocławskich aktorów do stworzenia autorskiego spektaklu w krakowskiej Łaźni Nowej.

Wyreżyserowany przez Marcina Libera spektakl *Fuck...* *Sceny buntu* miał swoją premierę w momencie, kiedy wrocławski protest nieco przycichł, zaś teatr pod wodzą Morawskiego – ocena jego osiągnięć artystycznych to temat na inną okazję – zaczął w końcu dawać pierwsze premiery. W Krakowie oglądaliśmy szóstkę aktorów, którzy zdają się być tej sytuacji świadomi. Podczas zagranej w prywatnym stylu sekwencji dywagują na temat kryzysu ich akcji: ktoś już dostał etat, ktoś kręci gdzieś film, każdy ma już swoje zajętości, nie da się buntować w nieskończoność, bo przecież trzeba z czegoś żyć. Zdaje się, że to właśnie ta sytuacja skłoniła grupę nie tylko do namysłu nad sensem protestacyjnych gestów, własnym miejscem w tej narracji, ale i do stworzenia scenicznego przeglądu artystycznych i obywatelskich buntów.

Podłoga sceny usłana jest błękitnymi odłamkami drewna, gdzieś pod tej ściółki wyrastają smętnie obcięte pnienie. Na prawym brzegu stoi jedyne drzewo, choć spoczywający pod nim błękitny ludzki szkielet jakby kwestionuje jego żywotność. Scenografia Mirka Kaczmarka zręcznie, zwłaszcza wobec ostatnich afer wokół działań Ministerstwa Środowiska, przydaje spektaklowi znaczeń, ukazując swego rodzaju krajobraz po brutalnej wycince. Brutalność tego obrazu podkreśla multiplikacja akcji scenicznej streamingowanej na żywo z rozmieszczonych na scenie kamer na wielkie, horyzontalnie ustawione telebimy oraz agresywna elektroniczna muzyka wykonywana na żywo przez didżejski tandem RSS Boys. W tak wykreowanych okolicznościach oglądaliśmy znanych z wrocławskiej sceny Annę Ilczuk, Martę Ziębę, Michała Opalińskiego, Andrzeja Kłaka, Katarzynę Strączek oraz – to desant z legnickiego teatru – Rafała Cielucha, wykonujących półimprowowane fizyczne działania. Ktoś biegnie w amoku, ktoś robi fikołka, ktoś wrzeszczy jakąś mantrę. Czyli – „buntowniczy” chaos. Przez huk elektroniki przebijają się głosy odczytujące słynne *22 tezy do przemyslenia* Janusza Opryńskiego.

Gdy zwolnieni z pracy aktorzy przemawiają własnym głosem, stajemy się świadkami prywatnego seansu egzorcyzmów, podczas którego wyrzucają z siebie – skądinąd zrozumiałe – złość i frustrację, które nazbierały im się w ciągu ostatniego sezonu. Egzorcyzmy, jak wiadomo, nie muszą być ani ładne, ani przyjemne, wobec czego aktorzy podają kolejne partie tekstów, o próbach samobójczych, przepędzaniu złej energii, czy też byciu Jezusem Chrystusem polskiego teatru, w sposób ostentacyjnie chaotyczny i niezborny, tworząc

TEATR ŁAŻNIA NOWA
W KRAKOWIE

Fuck... Sceny buntu

reżyseria
Marcin Liber
scenariusz, dramaturgia
Krzysztof Szekalski
scenografia
Mirek Kaczmarek
muzyka
RSS Boys
multimedia
Natalia Kabanow

premiera
25 marca 2017

Anna Ilczuk
i Andrzej Kłak



fol. Monika Stolarska

półgodziną antologię najbardziej zgranych postdramatycznych chwytów. Stężenie klisz stylów nowoczesnego aktorstwa, bezładnie otwartej narracji, projekcji powielających akcję, buntowniczego beatu elektronicznej muzyki stwarza wrażenie, jakby aktorzy chcieli kwestionować postdramatyczną estetykę, punktować jej nieskuteczność. Tylko – czy taka rzeczywistość była ich intencją?

Głównym „demonem” w aktorskich egzorcyzmach stał się sam Cezary Morawski. Szkoda, że został w *Fucku* obśmiany w sposób tak prostacki. Szkoda, zwłaszcza że pamiętając choćby pastiszowy talent, który Andrzej Kłak pokazał w serialu *Artyści*, nie ma wątpliwości, że wrocławskich aktorów byłoby stać na spostonowanie nowego dyrektora Polskiego w sposób nie tylko ostry, ale także inteligentny. A jednak, mimo iż *Fuck* nie jest spontanicznym, zorganizowanym naprędce protestem, a spektaklem, nad którym artyści pracowali kilka tygodni, zamiast tego wysłuchujemy nonszalanckich dowcipów w stylu: „Ja to bym chciała zagrać główną rolę w *Chorym z urojenia*. W peruce i sukni z epoki, i tak bym chodziła od kulisy do kulisy, i mówiłabym poprawną polszczyzną”. Kiedy dochodzi do ironicznej sceny korzenia się aktorów przed dyrektorem, z wyliczeniem przez każdego swoich „przewin”, kończonych komendą „przepraszam pana!”, w swoim cierpiennym autotematyzmie niebezpiecznie zbliżają się do granicy kabotyństwa. Dobór takich środków wyrazu może irytować, jednak nie na tym polega zasadniczy kłopot spektaklu z Łaźni.

Prywatne egzorcyzmy szczęśliwie kończą się po półgodzinie, po czym następuje dramatyczny przewrót. W kolejnej części spektaklu aktorzy przedstawiają przeplatające się dowolnie wariacje na temat rozmaitych buntów i protestów, które podobierali do scenariusza z pełną dezynwolturą przypadkowością, ale i czasem z rażącą nieadekwatnością. Aktorzy wcielają się w bohaterów dokumentu *Fuck for Forest*, opowiadającego o grupie ludzi zbierających pieniądze na ekologiczne cele, sprzedając tworzone przez siebie amatorskie nagrania porno. Przywołują postać Oksany Szaliginy i jej partnera Piotra Pawleńskiego, radykalnego performerera z Rosji, znanego choćby z akcji zaszywania sobie ust czy spalania drzwi siedziby FSB. Opowiadają także o samospaleniu Ryszarda Siwca w proteście przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Aktorzy dywagują prywatnie: czy gest człowieka, który publicznie pozbawił się życia, jest „za mało radykalny”, czy wręcz przeciwnie – „bardzo radykalny”.

W całej tej kuriozalnej antologii buntu, gdzie w jednym szeregu zestawia się Siwca z oszołomami z *Fuck for Forest*, a także performerera narażającego się na dotkliwie represje władzy ze zwolnionymi z pracy aktorami, autentycznie wypada tylko jedna sekwencja. Chodzi o wyświetloną na ekranie przejmującą sesję zdjęciową, podczas której naga Anna Ilczuk tarza się w odchodach z trzodą chlewną. Nie chciałbym co prawda, by aktorka wyznaczyła tym kierunek artystycznych poszuki-

wań w polskim teatrze, ale w kontekście nowohuckiego *Fucka* jest to jedyny gest, który cokolwiek waży. Nie tylko buduje (jedyną w przedstawieniu!) metaforę kondycji artysty, ale, wobec wszechobecnego w spektaklu „kawiorowego” buntu, jest faktycznie ryzykowny i przekraczający.

W finale aktorzy rozdają nam butelki wypełnione ryżem, chcąc stworzyć rodzaj utopijnej wspólnoty protestu. Ciężko jednak przejść nad nieźornością tego komunikatu. Przypomina się punkt drugi Tez Opryńskiego, w którym autor pisze o „przeciętnym obywatelu”, który jest skłonny oskarżać buntującego się artystę o przesadę, ponieważ nie rozumie, że artysta jest tym, który odzyskał „wolność widzenia”. Jaką w związku z tym rolę nadają nam wrocławscy artyści? Czemu po tym autoironicznym seansie chcą nas nagle poruszać tą buntowniczą „komunią”? Czy liczą, że z pieśnią na ustach poniesiemy ich na naszych ramionach na barykady?

Historykom teatru, którym będzie zależało na utrzymaniu heroicznej narracji wokół wrocławskiego protestu, szczerze poradziłbym przemilczeć *Fucka*. Krakowski spektakl przysparza tej akcji więcej szkody niż pożytku – działa nie tylko na niekorzyść występujących w spektaklu aktorów, ale jest też krzywdzący wobec innych świetnych artystów mniej lub bardziej zaangażowanych w akcję protestacyjną. Może on bowiem w oczach niektórych podważać wielokrotnie przywoływany w sporze o Teatr Polski argument o artystycznej elitarności wrocławskich aktorów. ■